

(Nie)komunikacja (nie)społeczna – ideologia small talku

Nie sposób skonstruować jednej klarownej definicji tego, czym może być tzw. small talk. Idea, której uniwersalny sens zdaje się egzystować wyłącznie w anglojęzycznej przestrzeni językowej (polskie odpowiedniki to z jednej strony wyprana z wyrazistości „pogawędka”, a z drugiej strony zbyt trywialna w swojej rubaszności „gadka szmatka”), ma charakter liminalny. Innymi słowy, funkcjonuje jako komunikacyjny element przejściowy, samodzielnie pozbawiony kapitału symbolicznego, ale zyskujący pełnokrwistą tożsamość w kontekście istnienia jakiegoś następnego etapu.

Kłopotliwa liminalność small talku nadaje mu rysy bytu negatywnego. To koncepcja afirmująca swoją pozycję w kulturotwórczym, społecznym porządku poprzez paradoksalną (konstrukcyjną, a nie – destrukcyjną) negację. Charakteryzuje swoją istotność, informując, czym **nie** jest.

Analogicznie do innych symboli rzeczzonej „przejściowości” ten wyjątkowo specyficzny rodzaj międzyludzkiej komunikacji wymyka się jednoznacznej kategoryzacji dzięki temu, że prowadzi żywot „w zawieszeniu”. Niczym anonimowy korytarz szpitalnego budynku prowadzący od jednego oddziału do następnego lub nasiąknięty wymowną ciszą, opustoszały w godzinach

wieczornych parking gigantycznej galerii handlowej, small talk znosi uproszczone, dualistyczne skojarzenie. Ów korytarz nie jest bowiem ani szpitalnym oddziałem, ani przestrzenią zewnętrzną. Z kolei wspomnianego parkingu nie możemy nazwać ani pełnoprawnym pomieszczeniem galerii handlowej, ani obszarem całkowicie od niej oderwanym.

Konceptualne oblicze small talku przywołuje na myśl także to, co w języku angielskim określa się zgrabnym, zwięzłym wyrażeniem „commuting”, a w realiach rodzimych nazywamy po prostu powszednim dojazdem do pracy lub szkoły.

Chwila namysłu nad „commutingiem” wystarczy, by wykazać się iście postmodernistyczną wątpliwością wobec znaturalizowanych, zobiektywizowanych kulturowo kategorii, takich jak praca oraz odpoczynek. Minuty wypełnione przez dojazd do pracy nie są przecież zarówno czasem wolnym, jak i samą pracą. Pozostają w zegarowej szarej strefie, gdzie kapitalistyczne żądanie niezauważenie przeistacza się w iluzorycznie neutralny konstrukt pod hasłem „jest jak jest”.

Refleksja poświęcona small talkowi może przynieść garść podobnych wątpliwości. Na pozór niewinna, swojska pogawędka, podczas dokładnej inspekcji okazuje się „commutingiem”

systemu relacji międzyludzkich. Nie można jej przecież uznać za w pełni ukształtowaną konwersację, ale z drugiej strony absurdem byłoby porównywanie jej wydźwięku z głuchym brzmieniem osamotnionej ciszy.

Według Yvonne Roberts, dziennikarki „The Guardian”, „prowadząca donikąd rozmowa buduje więzi”. Jej zdaniem trywialność small talku jest czymś w rodzaju warunku koniecznego. Niezobowiązujący charakter wymiany zdań na temat pogody czy samopoczucia potomstwa kreuje niezwykle komfortową atmosferę niewiążącej dynamiki. Osoby biorące udział w tej wyjątkowej grze językowej ustawiają się w dogodnych permanentnie wstępnych pozycjach. Mają przeświadczenie o nieskończonej możliwości wyboru, tj. mogą kontynuować czyisto symboliczny (pusty, a przez to bezgranicznie pełny znaczeniowo) dialog po wsze czasy, ale są jednocześnie pewne zagwarantowanego alternatywnego wariantu, tzn. płynnego (bo odpowiednio odłożonego w czasie przez umowny prolog) przejścia do semantycznie sutego werbalnego porozumienia.

Samozwańcza ekspertka od „coachingu dobrostanu”, Tchiki Davis, na łamach popularnego portalu społecznościowego LinkedIn przekonuje, że „small talk skutecznie rozładowuje spo-

łeczne napięcie wywołane przez przedłużającą się, niekomfortową ciszę”. Amerykanka uznaje niezobowiązującą pogawędkę za coś na kształt materiału łąającego podziurawioną materię codzienności związków międzyludzkich. W jej oczach small talk jawi się jako społeczna konieczność. To konstrukcja, której powstanie jest wybawieniem, najbardziej skutecznym panaceum na cywilizacyjną niechęć do ciszy. Przezroczysta treść czysto symbolicznej komunikacji działa na jej korzyść, ponieważ jednocześnie zapycha niepokojącą otchłań zanurzonych w bezgłosie wind, poczekalni czy sklepów oraz nie pozwala konwersacji wejść na tor inwazyjny, równie zatrważający, jak egzystencjalny jazgot długotrwałego milczenia. Tchiki Davis pochwała swego rodzaju transgresję bez transgresji, tzn. gest przekraczający groźbę głośzy, który mimo wszystko powściągliwie powstrzymuje się przed (kuszającym, ale niebezpiecznym) przekroczeniem bez troski tekturowej pogaduszki i zwróceniem się w stronę dyskursów transformujących rzeczywistość wszystkich stron, które biorą w nich udział.

Oba punkty widzenia są niesamowicie cenne, jednakże nie tyle z powodu ich bezpośrednio zarysowanych diagnoz, ile ze względu na konstatację pulsujące pod powierzchnią. Zarówno

Yvonne Roberts, jak i Tchiki Davis promują wartości przyświecające idei small talku w sposób, który dość niespodziewanie prowadzi do zgoła przeciwnej refleksji.

Teza Roberts mówiąca o small talku jako budulcu więzi zamiast podkreślać społeczną moc idei niezobowiązującej pogaduszki, uwydatnia stan zdrowia współczesnego społeczeństwa. Ukazuje obraz kolektywnego ciała wyobcowanego, wyabstrahowanego ze swojego oryginalnego komunitarnego sensu. Ciało tak okrutnie zatimizowane przez indywidualistyczne narracje teźniejszości, że skłonnego ułożyć swoje desperackie pragnienie wspólnotowości w small talku, tj. konstrukcji umownej, pozornej, dla której kontekst to pretekst.

Natomiast Davis, określająca small talk mianem skutecznego leku na lęk przed ciszą, szkicuje portret niespołecznego społeczeństwa jeszcze bardziej sugestywnie, choć też całkiem nieświadomie. Odmalowuje bowiem świat konsumowany przez charakterystycznie indywidualistyczną fobię. Niepokój, który cisza wywołuje w człowieku XXI wieku, można bowiem zinterpretować jako brutalną replikę immanentnej natury ludzkiej (jeśli oczywiście przyjmujemy istnienie takowej) na egoistyczne zapędy cywilizacyjnego postępu. Człowiek żyjący w epoce zastępującej

jego wrodzone, stadno-kolektywistyczne zapędy nowoczesnym pędem ku skrajnej samodzielności skazuje się na alienację, lecz podpierając się egocentryczną witalnością współczesnej kultury, zazwyczaj ucieka od związanego z wyobcowaniem cierpienia.

Ponieważ ból alienacji najbardziej malowniczo wyraża się ciszą (przypominającą o dosłownej lub symbolicznej nieobecności drugiego człowieka), nowoczesny, zindywidualizowany przedstawiciel gatunku *homo sapiens* nieustannie stara się ją zakrzyczyć – audiowizualnymi treściami mediów internetowych oraz rzeczonym small talkiem, tzn. konwersacyjnym odpowiednikiem tzw. muzyki tła lub włączanego telewizora przykrywającego egzystencjalną martwość niedzielnego, domowego obiadu.

Small talk jawi się jako osobliwa, komunikacyjna przestrzeń liminalna, skonstruowana w celu eskapistycznym. Reprezentuje filozofię rozmowy bez rozmowy, negującej zarówno pojęcie ciszy, jak i dialogu. Podstawową funkcją owej niezobowiązującej, pozornie niewinnej pogawędky jest więc odwrócenie uwagi. Dzięki codziennemu upowszechnianiu small talku pokiereszowane kolektywne ciało nie jest nawet świadome swojej udręki.

Łukasz Krajnik

Źródła:

1. Yvonne Roberts, *Call it trivial, but we still need to master the art of small talk*, „The Guardian”; https://amp.theguardian.com/science/2022/sep/03/call-it-trivial-but-we-still-need-to-master-the-art-of-small-talk?fbclid=IwAR3j-1l--nr_T0r3ugdUz9KIFpHgTYIGOmC8F2TjQiU3pGFwYveprXakaq4
2. Tchiki Davis, *Why You Should Engage in Small Talk*; https://www.linkedin.com/pulse/why-you-should-engage-small-talk-tchiki-davis-ph-d--tldwc/?fbclid=IwAR0BvVungcAKpmDtnAO9yRprWNsl_pkHaoaLwpuzkT0rJK4DaWjBgsh8HM